



**TEATR  
ARNOWSKI**

*im. Ludwika Holkiego*

---



*Stanisław Ignacy Witkiewicz  
Wariat i Zakonnica*

---

Dyrektor i kierownik artystyczny:  
RYSZARD SMOŻEWSKI

Zastępca dyrektora:  
ANTONI BANIUKIEWICZ

Kierownik literacki:  
ANDRZEJ JAKIMIEC

Kierownik muzyczny:  
WŁADYSŁAW SKWIRUT

Stanisław Ignacy Witkiewicz

## Ogólne zasady teorii Freuda

Zasadniczą cechą natury ludzkiej (a pewno i bydłowej) jest to, że każdy stwór żywy stara się jak najprędzej zapomnieć o rzeczach przykrych, które przeżył, i jak najdłużej babrać się w przyjemnych — i nie ma co się nam dziwić. Kwestia jest tylko w tym, że my, ludzie, nie przebieramy czasem w środkach, jeśli chodzi o budowanie płyt izolacyjnych między nami a przykrościami życia wewnętrznego i zewnętrznego; budujemy je z czego popadło implikując czasem tym gorsze świństwo, niż to, od którego pragnęliśmy się odгородzić. Znałem człowieka, który gdy się upił, oznajmiał nazajutrz sobie i innym „niebyłość” tego faktu: wmawiał w siebie, że to urojenie i to pomagało mu znakomicie do przezwyciężenia „katzenjammeru” (to jest skandal że moje tak świetne słowo „głatwa” nie przyjęło się zupełnie)\* — tego moralnego, bo z fizycznym można sobie dać radę radykalnie tylko przez jedną do dwóch dużych czystych nazajutrz. Ale to tzw. „zakłajstrowanie” z wierzchu mści się czasem straszliwie. Gdyby osobników przeżył całą okropność poalkoholowej głatewki, to by mu z pewnością znacznie utrudniło

następny występ i otwarłoby drogę do poprawy. „Niebyłość” zmniejszyła tak zaś cierpienia z powodu wyrzutów, że gdy przyszła następna a do tego stała możliwość nowej ucieczki w dal przed „bólem życia”, delikwent na pewno staczał się natychmiast po infernalnej stoczni upadków ludzkich na samo dno małego czy nawet wielkiego podboju. Oczywiście to są rzeczy, którymi możemy kierować sami. Ale są nieszczęścia, które walą się nam na łby ze stosunkowo małą pomocą wad naszych charakterów; chociażby gdyby tak uważnie w przeszłości się pogrzebać, może by się znalazło daleko więcej wpływu tego czynnika, niż to się nam w przebiegu codziennego życia wydaje.

Zupełnie słuszne w szerokim zakresie stanowisko jak najprędzszego zatłamszania rzeczy przykrych, stanowisko, które mamy wrodzone tak jak zdolność chodzenia i jedzenia, daje czasem zupełnie negatywne rezultaty. Nie dawało z pewnością takich skutków w zbiorowiskach jaszczurów jurajskich, u których rozpoczął się ten rozwój kory mózgowej, który u nas doszedł do tak nieprawdopodobnych rozmiarów: człowiek stworzył kulturę, która przerastała jego siły, a ponieważ rozwoju jej cofnąć (przynajmniej na razie) nie może, musi zginąć pod jej ciężarem. Człowiek nie był przygotowany fizycznie do tego, co z nim zrobił jego mózg; żaden sport i programowe ogłupianie się na małą skalę przez dancing, tenże sport, kino, radio i karty nie pomogą tu nic, bo wielka machina pędzi dalej coraz szybciej: tu trzeba by cofnąć kulturę na wielką skalę; jest to możliwe przy daleko większym stopniu społecznienia, ku któremu zresztą zdążamy.

Ale w tej chwili nie o to nam chodzi: wszystko jedno na razie dlaczego człowiek dzisiejszy często bywa duchowo (częściej niż dawniej) chory, a dawne środki lecznicze okazują się często niewystarczające; ponieważ zaś nie zawsze można człowiekowi temu dać odpowiednie warunki, np. wyjazd do Egiptu lub na polowanko do Sudanu czy na tajfuny chińskie i pierwszorzędne dziewczynki anamickie, dla rozwiązania kompleksów nienasyceń metafizyczno-erotycznego, czyli w ogóle dać mu dość zajmującą fabułę dnia codziennego, więc trzeba na to szukać innych sposobów. Jednym z nich jest psychoanaliza. Z Kretschmera dowiadujemy się ogólnikowo, do jakiej szufladki możemy siebie włożyć i za jakim numerkiem odnaleźć; z Freuda czerpiemy głębszą wiedzę, kim jesteśmy dynamicznie, w samym przebiegu zjawisk: jakie są nasze wewnętrzne niebezpieczeństwa i zasadzki, możliwości schwań, zakłamań i upadków. Dostajemy z tego czystą wiedzę o nas samych i drugich i stuprocentowo wzmoczoną możność świadomego, rozumnego kierowania naszym życiem niż przed „wymyciem duszy” gdy byliśmy przeważnie tylko igraszkami bydlęcych poruszeń właśnie w kwestiach życiowo najważniejszych, stanowiących podstawę do wszystkiego, jak smar podkładowy do nart jest podstawą do mazania ich subtelniejszymi, odpowiadającymi zmiennym warunkom, ingrediencjami. Jedną z tych potęg najważniejszych jest erotyzm.

Nie rozumiejąc nic psychoanalizy laicy pomawiają Freuda o erotomanie psychologiczną i sprowadzanie wszystkiego do erotyzmu, a nawet po prostu babraniem się w nieprzyzwoitościach jako takich, o jakąś psychokoprolalię czy



w tym rodzaju. Twierdzą, że jest to nieprawda. Akurat tyle poświęca Freud uwagi erotyzmowi, ile on na to zasługuje. Ale bądź co bądź jest to jedna z istotności sławnej i wcale dotąd nie zdyskredytowanej trójcy podstawowych potęg życia: głodu, strachu i miłości, tej ostatniej pojętej na razie bez żadnych uwzniośleń, jako prosty popęd do rozmnażania się i zachowania gatunku, w którym indywidua są bezwolnymi ofiarami jakiejś przerastającej je, dla nie znanych nam dalszych celów wytworzonej potęgi życia, zażębionej o świat materii martwej z mocą wprost niesamowitą. O ile nie będziemy na tzw. „materię żywą” (koniecznie z indywidualizowaną) jako na pewno połączenia chemiczne — tak nietrwale, „wybuchowe” wprost związki, a tak odgraniczające solidne stwory od ich podłoża, połączenia powstałe przypadkowo ze zderzeń i połączeń atomów, według wszystko tak upraszczającej sztucznie tzw. „billiard ball theory of mater”, czyli kulobillardowej teorii materii, w najlepszym znaczeniu aż do elektronów i pól włącznie — to kwestia przedstawia się wysoce tajemniczo: życie nie da się sprowadzić do fizyki, biorąc rzecz czysto choćby biologicznie, nawet z wykluczeniem wszelkiej psychologii. Strach jest wielki pan i głód też władcą jest pierwszorzędnym, ale erotyzm jest też potęgą dość wszechłą.

Chodzi mi o to, że jeśli odrzucimy na chwilę strach i głód jeden jako nie mający na razie w danej chwili przyczyny, drugi jako na razie zaspokojony, to zostaje nam erotyzm jako stały, latentny, potencjonalny, utajony w uczuciach cielesnych wewnętrznych podkład wszystkich „przeżyć” najprymitywniejszego nawet żywego

stworzenia. Tylko bezpośrednio po zaspokojeniu na bardzo krótki czas ginie to uczucie pierwotne w bardziej zdecydowanej formie; poza tym uczucia te są w nas stale jakby zaczajone, jako pewien potencjał energetyczny stanowiący integralną część naszej osobowości cielesnej, którą właśnie w naszych przeżyciach sami dla siebie jesteśmy. Proszę nie myśleć że wmawiam ogólną erotomanie wszystkim wymoczkom świata. Ale wydaje mi się, że stan tendencji rozmnożeniowej jest w różnych wariantach najbardziej stałym tłem, a nawet bardzo często dominantną całości samopoczucia się każdego osobnika. Dlatego to Freud, według mnie, ma głęboką rację, że w erotyzmie właśnie szuka załążka i motoru prawie wszystkich „wyższych” przeżyć indywiduum, nawet tak skomplikowanego, jak względnie inteligentny człowiek współczesny. Na tym bowiem podłożu wyrastają wszystkie twory ducha jako transformacje i sublimacje pierwotnego samopoczucia się indywiduum i jego chęci wyższego potwierdzenia, poza tym prostym samopoczuciem się właśnie, samego faktu jego istnienia.

Otóż jest to punkt istotny: potwierdzenie istnienia; nie dość jest istnieć po prostu, nierefleksyjnie, biernie, negatywnie, trzeba jeszcze istnienie swe zmanifestować wyraźniej, na tle możliwej śmierci i otaczającej nicości, która stanowi jakby tło negatywne wszystkich istnień, jak przestrzeń międzygwiazdna stanowi rodzaj podkładu dla istnienia gwiazd, planet, komet i naszych własnych ciał. Trzeba to istnienie w pewien sposób zobjektywizować, potwierdzić i utwierdzić niejako w wieczności subiektywnej lub co najwyżej gatunkowej, skończonej, złudnej,

„psychologicznej”, względnej. Do tego służy instynkt rozrodczy, którego działanie sięga poza byt indywidualny, poza efemeryczne „ja” poszczególnego stworu i w którym właśnie następuje transcendencja ograniczonego osobnika, Istnienia Poszczególnego, poza jego nieubiąganie ograniczone trwanie. Ta chęć przetrwania za bądź jaką cenę wyraża się we wszystkich złudnych teoriach nieśmiertelności tzw. „duszy”, której jako „substancji” bez ciała stanowiącego z nią, tj. ściślej — z osobowością trwaniową, jedność, nikt nigdy nie widział i nie zobaczy. Teorie te na tle zasadniczego prawa istnienia, zasady ograniczoności, za cenę której tylko istniejemy, musimy oznaczać nieistotne szukanie sposobu przewyciężenia metafizycznej potworności istnienia, realnie nigdy nie pokonanej. Dlatego to wszelkie czyny nasze, w których staramy się przez twórczość najogólniej pojętą — od życia do abstrakcji — przeżuć złudny most między ginącą beznadziejnie osobowością a wiecznością, musimy uznać za pochodne od instynktu erotycznego, za jego pewne transformacje, bo właśnie on jest tym pierwotnym przewyciężeniem indywidualnego przemijania, które jest udziałem najniższego nawet stworu. Dlatego wydaje mi się słusznym, że Freud wszelką twórczość uważa za przekształcenie i uwznioślenie instynktu rozrodczego, w którym też pierwotnie zwraca się jeden stwór indywidualny ku drugiemu, szukając w transcendencji pozasobowej uczuć ratunku przed absolutną samotnością zamkniętych beznadziejnie w swych nieprzepuszczalnych osobowościach żywych istot.

Otóż dziś mało kto może obejść się bez psychoanalizy, tak jak dawniej mało kto mógł żyć

bez zwierzeń i spowiedzi — wyladowanie podświadomości i rozplątanie jej bezwyjściowych pozornie zawikłań jest konieczne. Środki ku temu daje nam Wielki Spowiednik Ludzkości, Zygmunt Freud. Ale iluż nie umie słuchać jego wszechmądrego i dobrotliwego głosu, iluż w imię prawa „zachowania kompleksów”, przywiązania do choroby, którą wynagradzają sobie wszystkie braki „poskąpione” im przez przeznaczenie, przez fałszywy wstyd i również fałszywą ambicję — te dwie najzłobniejsze potęgi naszego życia — przez programowe niezrozumienie i bezrozumny upór, odrzuca jedyne zbawienie w postaci ułatwienia poznania swych błędów i ukrytych chorobowych ognisk, z których wyrastają niepojęte pozornie, przeczące — i zasadom, które się wyznaje, i charakterowi (to jest najważniejsze) — czyny. Jeśli wyczerpane są wszystkie środki świadomego zapoznania, a mimo to machina nie idzie dobrze i ciągle się coś psuje, i zdarzają się szarpania ze sobą i z ludźmi, to jakaż może być droga duchowa postępu, jak nie pozwolenie komuś na zagłębianie się w — czekające po prostu z utęsknieniem swego rozwiązywacza — płatowiska, bagna, „gappo” i potworowiska podświadomych głębin. Sam człowiek wobec siebie jest tu bezsilny: nie ma dlań takiego punktu zaczepienia, który by mu pozwolił zahaczyć o tak zdolne do dalszego prucia misterne konstrukcje podświadomych kłamstw; człowiek wie tyle ile mu ta jego przeklęta, strzegąca zazdrośnie swych tajemnic podświadomość pozwoli — ani mniej, ani więcej. Instynkt, nieomylny w warunkach prostych dla których był stworzony w tajemniczych pomrokach przeszłości, staje się wrogiem, gdy warunki zaczynają





S.I. WITKIEWICZ „Autoportret wielokrotny”  
1914–17. Ze zbiorów E. i S. Okołowiczów.

się zbyt szybko zmieniać w stosunku do zmian, nie mogących im nadażyć zmian strukturalnych już nie ciała — o tym u nas mowy nie ma, możemy się tylko degenerować i upadać — ale zmian tak dotąd podatnych i plastycznych organów wyższej kontroli i świadomości: mózgu i systemu nerwowego.

Wszystko ma swoje granice, dokonaliśmy cudów, ale nie można pędzić tak dalej, bo grozi to katastrofą: rozpetane zmiany warunków zewnętrznych przerastają o tyle plastyczność naszych ciał i organów, że całość grozi zwaleniem się w pierwotną nicość, w ciemność duchową, równającą się mrokom totemicznego klanu, z której wtedy, dawno, wyjście było jedno jedyne — poprzez władzę i cierpienia mas na wyżyny cywilizacji obecnej.

Fragmenty eseju zam. w „Narkotykach”.

---

\* Czekam już bardziej mojej śmierci, aby pewne rzeczy przeze mnie propagowane: absolutne niepaleńce, dozwolone tylko dla programowych samobójców powolnych, i niepicie nałogowe, zajmowanie się laików filozofią, uczenie się po niemiecku, zapoznanie się z Kretschmerem — weszły raz w użycie. Bez tego zdaje się nie obejdzie — trzeba się będzie poświęcić.

Stanisław Ignacy Witkiewicz był pisarzem wybitnym. Ale nie tylko: był także pisarzem — i człowiekiem — osobliwym, zagadkowym, z lekka niesamowitym. Jego niezwykle los budzi ciekawość i zgrozę jednocześnie, jego dzieło — fascynację i niewyraźny lęk. Witkacy (tak się przeważa i tak go będziemy nazywać) zbija czytelnika z tropu, rozbawia go i przeraża na przemian, wtrącając w rozpasaną farsę i bezlitosną tragedię. Mistryfikuje go żartami, aby wkrótce — z pełną powagą — obowieszczać prawa rządzące przeznaczeniem ludzkości. Zresztą wszystko, co Witkacy pisał i czynił, określał najlepiej najwyższe stopnie przymiotników. Pisał bowiem zawsze w niezwykłym napięciu i z zapamiętaniem, do jakiego mało kto, nawet wśród artystów, był zdolny. Sztuka i filozofia były dla Witkacego wartościami absolutnymi. Poświęcił im — najdosłowniej — życie: popełnił przeciw samobójstwo wtedy, kiedy, niemiela, zostały ostatecznie uniemożliwione przez historię.

Zrozumienie Witkacego jest trudne i wymaga cierpliwego wysiłku. Najpierw dlatego, że był aż nazbyt hojnie i wszechstronnie uzdolniony. Przez całą młodość uważał się za malarza. Tymczasem w 1925 roku zrezygnował z twórczości plastycznej, która — nieminiej — zajęła miejsce w polskiej sztuce. Po pierwszej wojnie, kiedy zabrał się do literatury, zaczął od teorii i krytyki sztuki: chciał przewodzić malarskiej awangardzie, prawie zajął się teatrem i w kilka lat napisał kilkadziesiąt sztuk. Już jednak w 1925 r. przerzucił się do powieściopisarstwa, aby w ostatnich latach życia poświęcić się niemal wyłącznie filozofii. Czy wystrzeliliby nowymi niespodziankami, gdyby nie śmierć? Czy też „koń-



czył się wigor żywiołowy tego człowieka, niezmiernie zasobnego w potencję"? Trudno powiedzieć.

Nie koniec na tym. Doświadczenia intelektualne Witkacego były niezmiernie bogate: obejmowały niemal ruch intelektualny Polski XX wieku. Dzieckiem prawie zapoznał się z myślą ojca, który — częściowo przynajmniej — odwoływał się do naturalizmu. Młodzieńcem zanurzył w Młodą Polskę, aby samodzielnie wybierać wśród jej możliwości. Nie został jednak więźniem modernizmu: przeciwnie, znalazł się wśród artystów, którzy w drugim dziesięcioleciu wytyczali drogę nowej sztuce. Stał tam od razu na pozycji radykalnie skrajnej, tak że dopiero po trzydziestu latach zarysowała się szansa pełnego zrozumienia i przyswojenia jego dramaturgii. Problemy Witkacego cechuje również niezwykła uniwersalność. Za pan brat ze sztuką i filozofią Zachodu, przeszedł on także przez doświadczenie rewolucyjnej Rosji, kipiącej od marzeń, niepokojów, pomysłów i programów. Polska nie była dla Witkacego środkiem świata: własne społeczeństwo — i rodzimą twórczość — widział zawsze przez rozwój ludzkości i ewolucję sztuki światowej.

Dramaty i powieści Witkacego bywają bardzo zabawne. Trudno jednak czytać je beztróskowo. Humor Witkacego nie był pogodny ani bezinteresowny. Błażństwo, bufonda, groteska żądająca trzeźwej ostrożności, czujnego skupienia i trwałego wysiłku.

JAN BŁOŃSKI  
fragment wstępu do wydania „Dramatów”  
Witkacego Biblioteki Narodowej.

Stanisław Ignacy Witkiewicz

## POZA RZECZYWISTOŚCIĄ

Nie szukaj już niczego  
Bo wistość tych rzeczy  
Jest nie z świata tego

Nie zabrną me twory popod żadne strzechy,  
Bo wtedy, na szczęście, żadnych strzech nie będzie.  
W ogóle z tego żadnej nie będzie uciechy,  
I tylko świństwo równomiernie rozpełźnie się wszędzie.

## SYTUACJA BEZ WYJŚCIA

(Raczej wyjście bez sytuacji. Przep. Red.  
Poświęcone klinikom psychiatrycznym)

W garkuchniach piwnic drżą motyle  
Dreszczeje dal i czeka bezkreśnie  
Giemzi i globi w całkach pyle  
Rozwiewa się w grzech — jak we śnie.

## DZIAŁACZ

Ja jestem demon stosowany,  
Nadprogramowo sobie żyję,  
Ja tworzę świat — dotąd nieznanym,  
Cóż, że sam przy tym z lekka tyję.



Tak jako ptaki na zdechłym narwalu,  
Tak my, działacze, żyjemy na masach.  
Pieniądz zmieszczamy w brylancie, w opalu,  
Albo po prostu w wertheimowskich kasach.

Życia nas mija i patrzy ze śmiechem,  
Jak nad zagadką stoimy bezradnie,  
Jak złotą piłką bawimy się grzechem,  
Czas przeklinając, co sny nasze kradnie.

Jako więzień lochy Twoje smutne oczy,  
Twa obecność sama jako głaz grobowy.  
środką niestety nie pamiętał.  
Wiesz ten nosił tytuł:  
DO PRZYSZŁEJ ŻONY...

Jam rozmiętosił ten problem przed — wieku  
I smutny jestem jak pępek w człowieku\*.

\*) Tak rzekł jakiś wieszcz i miał rację.  
Oczywiście nie ma tu mowy  
o „pępku metafizycznym”.

Ja by dawno uż był gieroj  
No u mienia jest giemoroj.

X X X

Więc tylko trochę mniej oporu,  
Słuchajcie, ach o kotki me,  
Lepiej niech wszystko będzie według wzoru  
Niż żeby miało być tak bardzo „fe”...

Różnorodność przeżyć nigdy nie zaszkodzi,  
Jeśli człek się przy tym nie bardzo zasmrodzi,  
A gdy i to nawet i tak nic nie szkodzi,  
Bo właściwie mówiąc, kogo to obchodzi! Hej!

Wszystko my mu dawali,  
Nawet i to cjankali,  
Lecz nyc mu nie pomogło,  
Bo pomoc nyc — nie mogło,  
Wykonczył se ten facet,  
Jak ten wendnący tacet,  
Nyc po nym nie zostało,  
Bo zrobił bardzo malo!

Z głupim człowiekiem nie warto gadać,  
Więc stulcie pyski i proszę siadać!

Ach, pomyśl także, gdy mnie już nie będzie,  
Zeńmy tu trwali duchem tuż przy sobie  
Jad dwa kwiateczki w tego świata grzędzie,  
I Tyś był we mnie i ja troszku w Tobie.

Ciężko jest żyć w plugawej naszej atmosferze,  
Czasami, ach, wprost nawet kogoś z boku  
litość bierze —  
Pociecha w tym, że gorzej być plugawcem, ach,  
samemu,  
Bo nic już nie pomoże, ach takimu.

Opracowanie graficzne:  
ELŻBIETA WERNIO

Drukarnia Narodowa Kraków  
Zakł. nr 16 Tarnów, ul. Brodzińskiego 1  
Zam. 1321-83 T-19-273

*Dyrekcja Tarnowskiego Teatru serdecznie dziękuje Wojewódzkiemu Zespolonemu Szpitalowi w Tarnowie za pomoc okazaną przy realizacji spektaklu.*



**Instytut Teatralny**  
ze zbiorów Polskiego Ośrodka ITI



STANISŁAW IGNACY WITKIEWICZ

# WARIAT i ZAKONNICA

czyli

nie ma złego, co by na jeszcze gorsze nie wyszło

Poświęcona wszystkim wariatom świata (y compris inne planety naszego systemu, a także planety innych słońc Drogi Mlecznej i innych gwiazdozbiorów) i Januszowi Mieczysławskiemu.



**O s o b y:**

- Mieczysław Walpurg** — **BOHDAN GRACZYK**  
**Siostra Anna** — **ELŻBIETA BIELSKA-GRACZYK**  
**Siostra Barbara** — **ROMA WARMUS**  
**Dr Jan Burdygiel** — **JERZY OGRODNICKI**  
**Dr Efraim Grün** — **WIESŁAW SOKOŁOWSKI**  
**Dwóch posługaczy** — **\*\*\***

**Reżyseria:**

**JULIA WERNIO**  
(PWST Kraków)

**Scenografia:**

**ELŻBIETA WERNIO**

**Asystent reżysera:**

**BOHDAN GRACZYK**

**Inspicjent i sufler:**

**GRAŻYNA CZAJKOWSKA**

**PREMIERA — MAJ 1983 R.**